№ 29. Warszawa, dnia 9 (21) Lipca 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalne, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

MIĘDZY SCYLLĄ I CHARYBDĄ.

OBRAZEK SCENICZNY

PRZEZ

Oktawjusza Feuilleta.

PRZEŁOŻYŁA

WŁ. Z R. J.

(Dalszy ciąg.)

II.

W JADALNYM POKOJU.

(Stół nakryty. Latournelle, pani Duvernage i Odetta wchodzą rozmawiając, następnie siadają do stołu. Baptysta usługuje.)

LATOURNELLE (śmiejąc się do Odetty). Co mnie zadziwia... iż żadna z twoich przyjaciółek nie zdradziła tego sekretu?

ODETTA. Ponieważ nic nie wiedziały o tem.

LATOURNELLE. To co innego!

ODETTA. Ileż ja jednak użyć musiałam wybiegów i kłamstw, niestety!... (Zaczynają jeść).

LATOURNELLE. Pokażesz mi swoje kajeta i notatki, zajmie mnie to niewypowiedzianie.

ODETTA. Skoro tylko zechcesz.

LATOURNELLE. I na seryo, powiedz mi, myślisz o wyższym dyplomie?

ODETTA. Tak jest... i otrzymać go muszę!

LATOURNELLE. Rzecz to niełatwa bynajmniej... wyższy dyplom naukowy...

ODETTA. Wiem o tem dobrze... dołożę ku temu pracy i starania. Zresztą mam doskonałych profesorów! Pan Chévreau-Lambert do wykładu francuzkiego języka i literatury...

LATOURNELLE. A... Chévreau-Lambert...

ODETTA. On sam... pan Rénandot do historyi i jeografii... pan Tellier do nauk ścisłych, Hamel-Druot do rysunków, nakoniec...

LATOURNELLE (przerywając). Nie powinni nudzić się ci panowie... (Do pani Duvernage:) Czy pani towarzyszysz na kursa Odecie?

PANI DUVERNAGE. Na niektóre, mój drogi... na inne nie, to zależy od profesorów.

ODETTA. Dobrze uczyniłaś, mamo, nieprzybywając dzisiaj do pana Rénandot. Było nas piętnaście uczenic w jego maleńkim salonie. Przytem piec, w którym napalono i gaz... A?... o mało się nie udusiłam! Brakło oksygenu... sam tylko azot i *acidum carbonicum*.

LATOURNELLE. Brawo... brawo! znasz teraz chemię, jak widzę!

ODETTA. Pierwiastki niektóre jedynie. Zrób mi kilka zapytań, Henryku, ale nie zbyt trudnych.

LATOURNELLE (zmieszany nieco). Kilka zapytań z chemii?

ODETTA. Tak!

LATOURNELLE. Na co to jednak... wierzę, że umiesz.

PANI DUVERNAGE. Ależ to jej zrobi przyjemność.

LATOURNELLE (zakłopotany). Z chemii... zobaczmy... zaczekaj! (Po chwili:) Co to jest gaz?

ODETTA. Jaki gaz?

LATOURNELLE. No... gaz... do oświetlania...

ODETTA. Ależ to hydrogen...

LATOURNELLE. Doskonale! wystarcza to w zupełności; (do pani Duvernage:) Ona umie... umie!

ODETTA (uśmiechając się). Zechciej mi podać nieco *chloruru sodjum*, mój drogi!...

(Latournelle po chwili wahania podaje żonie butelkę z wodą mineralną, która stoi na stole).

ODETTA. Lecz, mój Henryku... ja mówię *chloruru sodjum*... a ty mi podajesz wodę mineralną... *chloruru sodjum*... soli... nakoniec!

LATOURNELLE. Ah! *chloruru sodjum*... do licha! oto jest... (podaje jej solniczkę.) A w historyi, powiedz mi... jesteś zarówno mocną jak w chemii? Sądzę jednakże, że nie zadają ci innych pytań, jak tylko z historyi Francyi na tych egzaminach?

ODETTA. Na pierwszy stopień... tak! ale na drugi pytają z historyi ogólnej, której już nauczyłam się, to jest... przeszłam jej znaczną część.

LATOURNELLE (śmiejąc się). Zatem wiesz teraz co to jest Salomée?...

ODETTA. Tak sądzę. Salomée, córka Herodyady. Herodyada, była przyrodnią siostrą Heroda, ztąd małżeństwo to uważanem było jako zniewaga religijnych przepisów u żydów i ściągnęło anatemę świętego Jana Babtysty. Aby się zemścić, Herodyada poprzysięgła śmierć apostołowi i zażądała przez swoją córkę Salomée jego głowy od Heroda, co otrzymała, mimo iż ów książę nie był zbyt okrutnym.

LATOURNELLE (słuchając). Jakto? nie był okrutnym... Herod? a rzeź niewiniątek, moja droga?

ODETTA. Wybacz... lecz zdaje mi się, że mieszasz z sobą dwóch Herodów. Ten, który sprawił rzeź niewiniątek, twój... był Herodem Wielkim, na lat 40 przed Chrystusem; mój zaś, o którym mówię, był Herodem Antipasem, synem pierwszego, na rok przed Chrystusem.

LATOURNELLE. Jesteś tego pewną?

ODETTA. Najzupełniej.

LATOURNELLE. Zresztą wszystkie te czasy są tak pomieszane z sobą...

PANI DUVERNAGE (pokrząkując). Hm! hm! hm!...

LATOURNELLE (do niej). Co pani mówisz?

P. DUVERNAGE (uśmiechając się). Nic, mój Henryku.

LATOURNELLE (jedząc). Wybornie przyprawione są te krewetki! (Po chwili do Odetty:) Biedna moja Odetto, musiałaś się nudzić straszliwie przez te siedm miesięcy, nad tak ciężką i poważną pracą?

ODETTA (wesoło). Nie koniecznie... wiesz co powiedział jeden z naszych poetów? „Praca, jest matką rozkoszy".

LATOURNELLE. Ah! Boileau... dobrze... doskonale! Trzeba przyznać jednak, że to nie najlepszy z pomiędzy jego utworów.

ODETTA. Ależ, ten wiersz nie jest utworem Boileau... lecz Woltera.

LATOURNELLE (zmieszany nieco, zmuszając się do śmiechu). Brawo! nie wpadłaś w zasadzkę!

ODETTA. Była to więc zasadzka z twej strony?

LATOURNELLE. Naturalnie! Chciałem przekonać się czy znasz dobrze naszych autorów. Pojmujesz sądzę, że ja omylić się nie mogłem. Boileau nie napisał nigdy podobnego wiersza. Wolter zresztą bywał niekiedy lepiej inspirowanym, szczególnie w lekkich poezyach: Ten sześciowiersz naprzykład:

„Zima ścinając w lód,
Kryształy wód,
Wolnym postępuje chodem;
Na ich powierzchni co świeci,
W pląsach, z rozwagą... o! dzieci
Przepaść kryje się często pod lodem!"

Myśl śliczna!

ODETTA. Czy to znów zasadzka, Henryku?

LATOURNELLE (zmieszany nieco). Jakto... dlaczego?

ODETTA. Ponieważ Wolter nie jest autorem tegoż...

LATOURNELLE. Tak sądzisz?

ODETTA. Wiersze te są utworem poety Roya, są one napisanemi jako dewiza na rysunku przedstawiającym ślizgających się na łyżwach (powtarza):

„Zima ścinając w lód,
Kryształy wód,
Wolnym postępuje chodem;
Na ich powierzchni co świeci,
W pląsach, z rozwagą... o! dzieci
Przepaść kryje się często pod lodem!"

LATOURNELLE. Bądź co bądź, myśl piękna! (Po chwili). Lecz o czem ja to mówiłem?

P. DUVERNAGE (pokrząkując). Hm! hm!

LATOURNELLE (zwracając się). Co pani?

P. DUVERNAGE. Nic! jem spokojnie, mój przyjacielu.

(Babtysta wnosi półmisek z pieczenią.)

LATOURNELLE (z podrażnieniem). Ah! znowu pieczeń... znów wołowina! (Spogląda, a potem do Odetty:) Moja Odetto... nieradbym cię dziś łajać... Proszę jednakże na imię nieba, daj mi coś z cielęciny lub drobiu, w miejsce tego twardego i ciężkiego mięsa, którego znieść niemogę!

ODETTA. Mój drogi... mięso cielęce jak wiesz, składa się przeważnie z *fibriny* i *albuminu*, co nie jest zdrowem, szczególniej dla ciebie, który jesteś limfatycznym.

LATOURNELLE (z niechęcią powtarzając). Limfatycznym... limfatycznym. (Do Odetty:) Czy ty się uczysz także medycyny?

ODETTA. Cokolwiek... w punktach dotyczących chemii i hygieny.

LATOURNELLE (do pani Duvernage). Jak sądzisz pani? Mnie się zdaje, że żądając zbyt wiele od tych młodych kobiet, przeciążamy ich umysły nauką...

P. DUVERNAGE. Ależ bynajmniej.

(Chwila milczenia.)

LATOURNELLE (z nachmurzeniem). A ci profesorowie, którzy was egzaminują, są poważnymi ludźmi przynajmniej?

ODETTA. Bardzo poważnymi, niekiedy jednak dziwne zadają pytania. Podczas egzaminów na wyższy dyplom, gdzie byłyśmy obie obecnemi, przypominasz sobie, mamo... jeden z tych panów zagadnął młodą uczenicę, co to był król Candaule?

— Król Candaule? — zamyślając się odpowiedziała.

— Tak, pani, codziennie prawie czynią alluzye do jego historyi, na obrazach przedstawiają główne sceny z jego życia, dobrze jest więc wiedzieć coś o tem.

A gdy biedne dziewczę zarumienione milczało, zapytał:

— A więc pani nie wiesz, co to był król Candaule?

— Przeciwnie, panie... — odpowiedziała — był to wielki głupiec!

Profesorowie śmiać się zaczęli i stopień otrzymała. Ja nie wiedziałam sama co to był król Candaule, za powrotem jednak do domu, zajrzałam do biografii Michaud'a i...

LATOURNELLE. I cóż się dowiedziałaś?

ODETTA. Jak ta panienka, przekonałam się, że to był rzeczywiście wielki głupiec... (Po chwili). Lecz czemu nie jesz kalafiorów?

LATOURNELLE (nachmurzony coraz bardziej). Dziękuję... nie jestem już głodny. Utrudziłem się dziś więcej niż zwykle, chodziłem bowiem pieszo na ulicę de Présburg, pożegnać Dusaillego.

ODETTA. A!... Dusailly w podróż się wybiera?

LATOURNELLE. Tak, Il part en Amérique.

ODETTA (zrywając się). Henryku... co ty mówisz? A! gdyby pan Chévreau-Lambert posłyszał dostałby konwulsyi!

LATOURNELLE. Dlaczego?

ODETTA. Ponieważ nie ma cięższego błędu gramatycznego w języku francuzkim nad ten, jaki popełniłeś teraz!

LATOURNELLE. W czem... gdzie... błąd jaki?

ODETTA. Nie mówi się: „Il part en Amerique", ale „Il part pourt l'Amerique".

LATOURNELLE. Ależ ja czytałem to wyrażenie wszędzie... codziennie!

ODETTA. Bardzo być może. Pan Chévreau-Lambert mówił nam właśnie dziś rano, że nie ma bardziej upowszechnionego błędu, a zarazem grubszego w mowie francuzkiej nad ten, i że potrzebaby raz wysłać wadliwe to wyrażenie do suteryn, zkąd powstało. A! przez Boga! „Il part en Amerique"... nigdy... przenigdy!

LATOURNELLE (na str., pocierając ręką czoło). Doprawdy... gorąco robić mi się poczyna! (Głośno z odcieniem ironii:) Może to być!... jednakże obok tych studyów gramatycznych, dobrze byłoby, moja droga, abyś starała się poprawić nieco charakter swego pisma.

ODETTA. Uczyniłam to już przed egzaminem. Mam również nauczyciela kaligrafii i przekonasz się z zadowoleniem, że i w tem zostałam artystką:

„W sztuce malowania wyrazów,
Wzrok zachwycającej!"

(Wstają od stołu.)

LATOURNELLE. Ah! tym razem, to Boileau... napewno!

ODETTA (patrząc na niego z uśmiechem). Nie! ty to robisz umyślnie!

LATOURNELLE. Jakto... autorem tych słów nie jest Boileau?

ODETTA (filuternie). E! ty wiesz dobrze, że to Brébeuf w Pharsalu...

LATOURNELLE (wstając). Ah! Brébeuf... Brébeuf... zapomniałem zupełnie... Brébeuf w Pharsalu, przyznaję!

P. DUVERNAGE (której Latournelle podaje rękę). Prawda, jaka oczytana... zwalczyć się nie da...

LATOURNELLE (w zamyśleniu). Tak... oczytana...

P. DUVERNAGE. A cóż będzie... gdy wyższy dyplom otrzyma!

(Wchodzą do buduaru.)

Babtysta i Julia wchodzą sprzątając ze stołu.

JULIA. O czem oni rozmawiali tak dzisiaj? Coś jak gdyby pacierz jaki?

BABTYSTA. Mówili po łacinie, nic ich zrozumieć nie można było. (Uprząta.)

LATOURNELLE (wchodząc, do Babtysty). Proszę cię... idź mi poszukaj cygarniczki w moim paltocie.

BABTYSTA. Natychmiast, panie.

(Wychodzi.)

(*Dokończenie nastąpi.*)

Z Tomasza Moore.

Smutek jak chmura rozpostarł swe cienie,
Na blaski twoich wiosennych lat:
Zawcześnie tobie zwarzyło cierpienie,
Świeżość chwil młodych, pięknych nieskończenie,
Nawet wśród żalu ponurych szat.

Czyliż czas zawsze zimnem skrzydłem swojem,
Z najdroższych wrażeń dobywa chłód?
Czyż zawsze zwątpień grozi niepokojem?!...
Więc pójdź... łzy moje zmieszam z twych łez zdrojem;
Ja wierzę jeszcze w przyjaźni cud!...

Emilia.

PRZESILENIE.

PRZEZ

Maryę Napieralską.

(Dalszy ciąg.)

Zapalałam się coraz więcej! Przypuszczenie, że może istnieć ktoś, któryby mnie, pasowaną na dorosłą pannę, zwał dzieckiem, obudzało gniew nad wyraz. Upojenie balowe nikło, uczuwałam się wytrzeźwioną.

Zwierciadło odbijało moją postać dumnie wyprostowaną. Bezwiednie wyrywając białe piórka wachlarza, mierzyłam szeroko rozwartemi oczami brunatnego Sokoła. Stał zanurzony w kwiatach, blady, nieporuszony, pewny siebie. I teraz, patrząc na mnie, wypowiedział zwolna, dobitnie, następujące słowa:

— Panna Anna, w błękitnej, długiej sukni, królowa dzisiejszego wieczoru, najpierw rozbawiona, później rozmarzona w kącie salonu, jest siedmnastoletnim pączkiem, o jakim dziś trudno jeszcze orzec coś pewnego. Rozkwit i woń najzupełniej niewiadome.

Wachlarz naciśnięty gwałtownie w mej ręce pękł i potoczył się do stóp Sokoła.

— Żegnam pana — zawołałam mknąc szybko ku drzwiom, mocno obrażona.

Przy wyjściu usłyszałam jeszcze śmiech mamy. Sen odbiegł całkowicie przy otworzeniu okna w mym panieńskim pokoiku. Prześliczny ranek witał ziemię, chłodne, świeże powietrze, zwiewało włosy z czoła, muskało ramiona i szyję, ostudzając niedawny żar.

Po raz pierwszy rozgniewano mnie tak srogo. A kto? Mały mężczyzna, niepodobny z powierzchowności do żadnego z mych wielbicieli. I cóż on we mnie znalazł dziecinnego?

Przebiegając myślą noc ubiegłą, przypomniałam sobie kilka drobnych na pozór faktów, jakie przecież mogły być tyle nieszczęśliwe, aby ściągnąć uwagę Sokoliska, już nie Sokoła. Cóż dziecinnego w tem, że rozmawiałam kwadrans z panem Teodorem, w jakiemś odosobnionem miejscu salonu.

Czyż dziecinny był postępek, jeżeli panu Władysławowi dałam kwiat róży z mych warkoczy? On tak usilnie prosił! Czyżby niewłaściwem było ciągłe wybieranie do mazura jednego tylko pana Tadeusza? Alboż dziecinnie, iż całował mi ręce kuzynek Witold? Przecież kuzynkowi wolno więcej, niż wszystkim, a że chusteczkę rzucałam umyślnie w stronę pana Zygmunta, to cóż w tem dziwnego? Mówił, że nie wziąłby z równym zaszczytem królewskiej korony, jak moją chusteczkę. Jakże można nie słuchać tego? Wprawdzie, kilka razy w ciągu tych wydarzeń, spostrzegłam utkwiony we mnie badawczy jakby wzrok fatalnego Sokoła, ale cóż mnie to mogło zajmować?

— Nieznośny impertynent. Nie chcę go widzieć więcej.

Taki był główny epizod z epoki mego życia, aż do chwili, w jakiej zaczęłam opowiadanie niniejsze. Wyjazd mój do cioci baronowej, zdecydowany był od dość dawna. Matka moja i ciocia poszły drogami wręcz odmiennemi.

Pierwsza, kobieta najzacniejsza, niegdyś ukochane dziecko swych rodziców, była stworzoną do cichego, pracowitego życia, jakie też osiągnęła w związku z człowiekiem, podobnego jej usposobieniem.

Mama moja kierowała się zawsze więcej sercem niż zimnym rozumem, dlatego odrzuciła partye przedstawiające znaczne nawet korzyści materyalne, znaczniejsze, niż mego ojca. Kochała go! Ten jeden wyraz zamyka w sobie wszystko. Po śmierci męża, z początku trudno jej było rządzić samej, niewielką wprawdzie, ale wymagającą wielkich zachodów Wólką. Nie stanowiąc majątku, mogła jednak zaspokoić wszystkie nasze potrzeby, więc byłyśmy szczęśliwe.

Jaką zaś była ciocia baronowa, o tem dowiecie się później. Mama bywając niekiedy w Warszawie, utrzymywała z nią stosunki serdeczne, o ile to było możebne przy pewnej różnicy usposobień. Ciotka żyjąca w sferze wielko-światowej, zapragnęła poznać siostrzenicę i zarekomendować ją jaśnie wielmożnym i jaśnie oświeconym. Chciała wprowadzić ją w świat.

Za kilka minut miała nas unieść lokomotywa, gdy całkiem niespodzianie przy drzwiczkach wagonu ukazał się... nikt nie zgadnie kto? Sokoł.

Po ceremonialnym ukłonie cofnęłam się do drugiego okna, ale głos Sokoła zmusił mnie do zwrócenia głowy ku niemu.

— Panno Anno! Nie miałem dotąd sposobności przeproszenia cię, a zdaje mi się, że ściągnąłem jej gniew na siebie.

— Zapomniałam już o tem — brzmiała moja chłodna odpowiedź. — Niepotrzebnie doprawdy pan się trudził.

— Wszelako odnośnie do siebie, proszę, racz pani nie pamiętać urazy, gdyż nie dowierzam tak szybkiemu zapomnieniu. Zresztą, sam ton mowy pani, drżący gniewem...

Pierwszy dzwonek towarzyszył tym słowom.

— Chciałbym, abyś pani nie wywiozła z Wólki żadnego nieprzyjemnego wrażenia.

— Niech mnie pan nie posądza, o możność zatrzymywania długo niemiłych wrażeń. Zapomnę o Wólce.

— Czy nie obiecuje pani wrócić prędko?

— Niech trochę pozna Warszawę — ozwała się mama — u ciotki będzie jej jak w domu.

— Może za bytnością w Warszawie, złożę pannie Annie moje uszanowanie, naturalnie za pozwoleniem pani — dodał, zwracając się do mamy.

— Z przyjemnością — odpowiedziała, a ja pomyślałam:

— Co za natręctwo w narzucaniu się komuś. Podług niego, to moja osoba nie wchodzi tu wcale w rachunek. Nie pyta, czy wizyta jego sprawiłaby mi przyjemność, lub nieprzyjemność. O! niegodziwy samolub!

Jakby uprzedzając moje myśli, zagadnął.

— Powinienem właściwie i od panny Anny wiedzieć, czy nie byłaby przeciwną memu zamiarowi...

— Sądzę — przerwałam, ale on, jakby znów w przeczuciu niezbyt przychylnej odpowiedzi, ciągnął dalej nie zważając:

— Nie wątpię przecież, że pannie Annie miło będzie zobaczyć kogoś ze swoich stron, znającego mamę, za którą niekiedy w chwilach spokoju, zatęskni jedynaczka.

Brzmiało to, jak lekki wyrzut za moje poprzednie odezwanie się o zapomnieniu Wólki. Przecież nie o mamie to mówiłam, tylko o nim. Właściwie, powinnam się była inaczej wyrazić, bo przecież jego rezydencyą stałą był Jedlin, ale popędliwość nie pozwoliła mi zastanowić się.

— Przyjemnej podróży i wesołej zabawy — zawołał Sokoł po trzecim dzwonku.

— Dziękuję.

Końcami palców zaledwie dotknęłam wyciągniętej dłoni.

Żelazny olbrzym ruszył się. Mama stojąc w oknie odbierała ostatnie ukłony Sokoła. Z za jej ramienia dostrzegłam, jak oczy jego usiłowały wedrzeć się w głąb' wagonu, co mnie skłoniło do cofnięcia się.

— Niech mi go mama, nie przysyła nigdy! — zawołałam.

— Uprzedziłaś się do niego, Anusiu, nic więcej. Poznawszy go bliżej, zmienisz zdanie. Ile jest tylko panien w okolicy, żadna nie odrzuciłaby jego względów, gdyby naturalnie starał się o to. Do żadnej z nich jednak, się nie zwracał. Tak Anusiu, tak.

Myśli moje frunęły tymczasem w kierunku Warszawy.

— Opowiedz mi, mamo, o ciotce baronowej i jej córce Hortensyi — odezwałam się.

— Wszakże pobieżnie, już ci je nieraz określiłam. Ciotka twoja jest kobietą bardzo rozsądną przedewszystkiem. Nie pozwala nigdy unieść się nadto uczuciu, szczególniej, jeśliby to miało przynieść jej jaką szkodę. Chłodna, wyrachowana, nie zapali się do tego, czegoby wartości nie zbadała dokładnie. Zawód serdeczny, doznany przez nią w pierwszej młodości, usposobił ją później tak...

— Zawód serdeczny? — przerwałam ciekawie — jak to było? Mamusiu droga, kochana, mów mi o tem, proszę, mów koniecznie.

— Dobrze — powiedziała mama po chwili zastanowienia. — Opowiem ci to dla twej przestrogi, abyś kiedykolwiek sama nie dała się unieść prądowi uczucia, które raz przyjęte, zagłębia się na zawsze niekiedy. Opowiem ci to, abyś uważała, na kogo zwrócisz swe spojrzenia i panowała o ile się da nad mimowolnym często urokiem, jaki rzucają niektóre osoby, abyś nakoniec była ostrożną w postępowaniu z ludźmi, bo tej uwagi nigdy nie jest nadto. Strzedz zawsze należy umysłu, niech się nie zapala namiętnie, ponieważ później trudno zaradzić, jeśli iskra wybuchnie pełnym płomieniem. Opowiem ci w kilkunastu słowach: Ciotka była bardzo podobną do ciebie. Śmiech wesoły i piosenki wybiegały co chwila na jej usta.

— Tak? — przerwałam jeszcze więcej rozciekawiona.

— Marzyła o świecie, jak ty marzysz obecnie; ufała w przyszłość, jak ty ufasz, ale ostatni jej uśmiech, ostatnie ciepłe słowo, zabrał z sobą mężczyzna, który dla pychy rodowej niemógł połączyć swej doli z dolą średnio zamożnej szlachcianki, chociaż kochał ją. Duma zwyciężyła miłość. Zadał gwałt sercu i odszedł, a ona, Wanda, od pierwszej chwili ujrzenia go, mogła była i powinna nawet odwrócić się od tego, z kim ją dzieliła przepaść zastarzałych przesądów, szanowanych bałwochwalczo w rodzinie Gerarda. Ostatni dziedzic znakomitego nazwiska, musiał wziąć żonę dla siebie z domu, gdzieby mu odpowiadała pod względem urodzenia i bogactwa. Wanda mogła była nie podniecać zalotów panicza, a przecież zwracała się ku niemu, niby motyl do płomienia świecy. Pamiętam dobrze te chwile, kiedy turkot wspaniałego powozu, sprowadzał na jej urodne, dziwnie pociągające lica, różową łunę szczęścia. Najczęściej w białej sukni, bo to był ulubiony kolor Gerarda, przebiegała lekka, wesoła, jak ptak zaciszne aleje naszego ogrodu w Wólce, dokąd już później po swem zamążpójściu, nie chciała zajrzeć ani razu, z obawy zbyt silnego rozbudzenia wspomnień przeszłości.

— Więc to dlatego nie widziałam nigdy mej ciotki w naszym domu? — szepnęłam w zamyśleniu.

— Zerwanie z Gerardem stanowiło grom, który zabija, chociaż nie odrazu. Można po nim żyć, obcować z ludźmi, rozmawiać, śmiać się nawet, ale już, jakby bez duszy. Tacy ludzie bez wstrząśnień, bez pragnień i wrażeń przechodzą przez świat. Do takich należy baronowa. Po Gerardzie, nikt nie mógł zająć miejsca w jej sercu. W kilka lat potem poznał ją obecny jej mąż. Że była uległą namowom swej rodziny, że jak mówiła, nie ma już nic do stracenia, więc pozwoliła się ubrać w strój ślubny i przysięgła baronowi poczciwość, wierność i posłuszeństwo, czego też dochowała. Podróże, bale, wszelkie przyjemności, prawdziwa miłość męża, nic wreszcie nie zdołało spędzić ciągłego wyrazu spokojnej boleści, zamkniętego w mocno zaciśniętych ustach, zagasić lodowatego połysku w oczach. Biedna Wanda!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Książki dla dzieci.

1) Marya Weryho: **Nasi przyjaciele**, książka przeznaczona dla dzieci od lat 7 — 10, z illustracyami F. Brzozowskiego.

2) Marya-Leona: **Bajeczki i różne wierszyki.**

Literatura dziecinna jest tak u nas ubogą, iż każde nowe dziełko na tem polu, z przyjemnością zawsze witamy; tam bowiem, gdzie tłomaczenie uważa się, jako dobry nabytek, praca oryginalna musi podwójną posiadać wartość. Przez dziwne jakieś zaślepienie, czy poczucie własnej niemocy, autorzy nasi znajdują, iż zniżanie się do umysłu maluczkich ujmę by im przyniosło; tymczasem działalność w tym kierunku nie mniej jest od innych pożyteczną i zaszczytną, tylko odrębnych zupełnie wymaga zdolności. Ztąd też dziełko p. Maryi Weryho, prawdziwą sprawia nam przyjemność; jako bowiem znana przewodniczka młodocianych główek, autorka posiada przystępność i prostotę stylu, która powinna żywo do czytelników jej przemawiać.

„Czytanie — mówi nam p. Weryho w przedmowie — powinno rozszerzać widnokrąg umysłowy dziecka, kształcić jej uczucie i charakter. Książka powinna udzielić mu wiadomości naukowych, zadowolnić estetyczne wymagania i wskazać ideały moralne".

Śliczną i rozumna zasada, aby ją wszakże osiągnąć, sądzę, iż książka powinna przedewszystkiem zająć dziecko. Rozciekawione, przebiegnie chętnie całą i zdrowe, zawarte w niej ziarno, przyswoi sobie bezwiednie. Znudzone dziecko, nie pożytek a stratę odniesie, bo obrzydzi sobie czytanie. Szanowna autorka sama przyznaje, iż dorosły: „czyta książkę świadomie, zapatruje się krytycznie, dziecię zaś, zupełnie podlega wrażeniu, odebranemu z czytania." Otóż człowiek skończony, „zapatrując się krytycznie," przebiega niejednokrotnie dzieła pozbawione akcyi i działania, książki w których treść dałaby się często zamknąć w trzech stronach, a całość trzy tomy zawiera; czyta, bo go zajmuje sposób opowiadania, bo go zaciekawia rozwój psychiczny charakteru, lub po mistrzowsku skreślone obrazy. Od dziecka jednak, trudno podobnie wyrobionego smaku wymagać. Gdzie nie ma treści, tam nie ma dla niego i powiastki, nie ma zajęcia, a piłka i lalka, będą zawsze rozkoszną od podobnego czytania ucieczką.

Tymczasem szanowna autorka, nieuwzględniając widocznie zasady tej, kreśli śliczne ale dziwnie beztreściwe obrazki. Niańka, opowiadająca o wróżkach zaczarowanych, stanowiłaby tu tak silną konkurencyę, iż na pierwsze jej słowa, małoletni słuchacze porzuciliby z pewnością książkę p. Weryho. Nie znaczy to wcale, abym fantastyczne bajki uważał za dobry środek pedagogiczny, lub dawał im pierwszeństwo przed powieściami szanownej autorki. Bynajmniej, znajduję jednak, że i dzieci trzeba zaciekawić, brak treści bowiem zniechęca je i nuży.

Weźmy dla przykładu pierwszą powiastkę:

Zosia rwąc kwiatki pośliznęła się i wpadła do wody. Pies Dondon rzucił się za nią i wyniósł dziewczynkę na brzeg.

Oto wszystko. Gdym opowiadanie to przeczytał 8-letniej dziewczynce, słuchała mnie z uwagą, po skończeniu jednak, zapytała naiwnie:

— I cóż dalej, wujaszku?

— A widzisz, jakim to pies jest wiernym stróżem — zacząłem tłomaczyć intencye autorki.

— Ale co dalej, wujaszku, ja chcę wiedzieć co się stało dalej?

— Nic już, moje dziecko.

— Nic, no, to nie powiastka; to nie było wcale powiastki — wołała z mocnem przeświadczeniem. Brak akcyi rozczarował ją zupełnie.

Ta sama dziewczynka, czytając *Kotka* i doszedłszy do ustępu: „Czy uczyła się lekcyi, czy grała na fortepianie, zawsze trzymała kotka na kolanach," spojrzała mi z wyrzutem w oczy:

— A co — wołała — można grać i bawić się kotkiem, a mnie to mama każe podczas lekcyi, myśleć tylko o nauce.

Sądzę, że i tu uwaga dziecinna doskonałą jest wskazówką pedagogiczną. Zresztą, drobne to usterki, a jeżeli w zbiorku spotykamy równie nudne i bezpożyteczne obrazki, jak: *Ślimaki*, to w ślad za nimi znajdujemy tak pouczające jak *Jeż*, lub takie śliczne, jak *Kukułka i Słowik*. W ogóle, wszędzie gdzie autorka każe przemawiać kwiatom, drzewom lub ptakom, budzi się w niej natychmiast tchnienie fantazyi i poezya języka, która żywo na dzieci działa, a podniecając wyobraźnię, do myślenia ją zmusza.

Brzoza i Konwalia, oraz *W pogoni za motylem*, temi samemi odznaczają się zaletami. Styl nieskrępowany błyska tu świeżością i poezyą, która przykuwając małych czytelników, książeczce pani Weryho, zasłużone powinna zjednać powodzenie. Jedna *Magdzia* taka, opowiadająca z prostotą historyę trzewików, kupionych chorej matce, wzruszy z pewnością do łez maleństwa, a rzucając im do serca ziarno miłości ku ubogim i poświęcenia, każe nietylko zapomnieć o bezbarwnych pierwszych obrazkach, ale przyuczy tęsknić nawet do następnego tomiku, za którym, mamy nadzieję, p. Weryho nie długo każe nam czekać.

Drugi zbiorek, skreślony przez Maryę-Leonę (pseudonym), a zatytułowany: *Bajeczki i różne wierszyki*, obejmuje po większej części utwory, drukowane już w „Wieczorach Rodzinnych", co nas od szczegółowej ich oceny uwalnia. Zaznaczamy tylko, iż zdrowa i pożyteczna myśl, ujęta jest wszędzie w wiersz łatwy a potoczysty. Nastrój zbyt dydaktyczny i moralizujący, jest jedynym zarzutem, jaki pozwolimy sobie tu uczynić.

Anatol Krzyżanowski.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

W tej chwili wszystkie wypadki ubiegłego tygodnia przesunęły się szybko w umyśle Ludwika. Przypomniał sobie jak razem z Kle-

mensem ścigał, aż do drzwi domu, tę samą młodą dziewczynę, jak badał odźwiernego Anzelma i wywołał silne wzruszenie w sercu pani Hérault, wymieniwszy nazwisko de Graville, które jej przypomniało dawno minioną przeszłość. Potem przyszła mu na myśl rozmowa z babką, która opowiedziała mu o swych odwiedzinach w mieszkaniu Heleny i uszczęśliwiona poznaniem młodej dziewczyny, prosiła go o pozwolenie przygarnięcia do siebie ostatniego potomka z rodu swych dobroczyńców.

Odurzony szalonem życiem, jakie wiódł od tygodnia, zapomniał już o tej całej przygodzie, gdy nagle znalazł się w obecności bohaterki. Jej pełne szczerości spojrzenie, kontury ust zdradzające siłę charakteru i jasne, rozumne czoło, zjednały jej odrazu sympatyę Ludwika. Śniadawa cera nadawała jej twarzy jakiś tęskny, rzewny wyraz i cała jej postać zupełną stanowiła sprzeczność z pięknością Dianny białej, pulchnej i zalotnej. Poważny wdzięk Heleny wywarł na młodzieńcu bardzo korzystne wrażenie; osądził ją jako osobę spokojną, zastanawiającą się i przyjemną w obejściu i której towarzystwo będzie dla niego pożądane. Usposobiony tak przyjaźnie, podał jej rękę i rzekł uprzejmie:

— Witaj pani i pozwól podziękować sobie za dobroć, z jaką przychyliłaś się do życzenia mojej babki... Jestem pani, za to bardzo wdzięczny i proszę cię, abyś dom ten uważała za swój własny.

Helena skłoniła głowę z uśmiechem, który odsłonił białe ząbki i położyła dłoń swą na dłoni młodego mężczyzny, mówiąc poważnym głosem, którego dźwięk wydał się Ludwikowi harmonijnym i głębokim:

— Bardzo panu jestem wdzięczna za tak uprzejme przyjęcie i obiecuję kochać pańską babkę tak jakby była moją.

Na tem skończyła się rozmowa, gdyż oboje młodzi czuli się dziwnie pomieszani i zakłopotani. Obiad przeszedł w milczeniu i skończył się dość szybko. Każda z obecnych trzech osób przypatrywała się dwom pozostałym, starając się wybadać wzajemne ich usposobienie.

Pani Hérault usiłowała wyczytać z twarzy wnuka wrażenie wywołane poznaniem Heleny. Ludwik podziwiał w duchu spokojny i pełen godności układ panny de Graville, której każde słowo zdradzało prostotę i takt niepospolity. Młoda dziewczyna w przeciągu jednego dnia stała się tak swobodną w domu pani Hérault, jak była nią niegdyś w domu rodziców przed ich zubożeniem. Dobre wychowanie było jej tarczą od wszelkich złośliwych napaści i docinków i zabezpieczało ją lepiej, niż zbroja od podstępnych zasadzek. Czuła się pewną siebie i bynajmniej nie onieśmieloną nowem swem położeniem.

Mówiła mało, zasmucona bladością Ludwika i wyrazem smutku i pognębienia, malującego się w oczach, siną podkrążonych obwódką. Podejrzywała go, że ma tajemne jakieś zmartwienie, nie domyślając się, że w tej chwili młodzieniec tylko o niej myślał i z wrodzoną sobie lekkomyślnością przerzucił się nagle z roztargnienia i nudów w stan rozmarzonej błogości.

Skoro wrócili do salonu, Helena nie czekając wezwania pani Hérault, zajęła się przyrządzeniem i nalaniem kawy. Babcia siedząc przy wnuku, z widoczną przyjemnością spoglądała na śliczną dziewczynę, odgadującą jej różne drobne przysługi, których tak często była pozbawiona. Staruszka dumną była z tego, że ją odnalazła i umiała przywabić ku sobie. Zdawało jej się, że cała zasługa jej się tylko należy i że wdzięk dziewczęcia i jej dodaje powabu. Chcąc zwrócić uwagę Ludwika na wszystkie przymioty Heleny, podjęła leżącą na stoliczku szarfę z krepy chińskiej, która posłużyła jej za pozór do zawiązania znajomości z Heleną i pokazując ją Ludwikowi, rzekła tryumfująco:

— Powiadam ci, Ludwiku, że Helena to uosobiona doskonałość: haftuje jak wróżka, przypatrz się tylko, jak mi naprawiła tę uszkodzoną szarfę, gra na fortepianie i śpiewa prześlicznie, a gdybyś ją słyszał czytającą głośno, zachwyciłbyś się doprawdy!...

— Gdyby oprócz tych wszystkich wymienionych przez babcię przymiotów, panna Helena nie lękała się jeszcze tytuniowego dymu — rzekł Ludwik, uważałbym ją za istotę doskonałą.

Pani Hérault zwróciła się z zapytaniem do panny de Graville, siedzącej nieco na uboczu z illustrowanym dziennikiem w ręku.

— Moja kochana Helenko — rzekła — czy pozwolisz zapalić papierosa temu nicponiowi? Musiemy być pobłażliwe na jego wady, kochanko, gdyż w przeciwnym razie odwiedzi nas znowu po tygodniu.

Za całą odpowiedź Helena podniosła się i przynosząc srebrną papierośnicę znajdującą się na tacy, rzekła z prostotą:

— Ojciec mój palił bardzo dużo, dlatego też zapach dymu tytuniowego wcale dla mnie przykrym nie jest.

Powiedziawszy to, wróciła na swoje miejsce i nie odzywała się już tylko wtedy, gdy ją pani Hérault o coś zapytywała. Wieczór przeszedł szybko i Ludwik zdziwił się, gdy zegar wydzwonił jedenastą, jemu się zdawało, że dopiero co wstał od obiadu. Powiedział dobranoc pannie de Graville, uścisnął babkę i zapomniawszy pójść do klubu, udał się do swojej sypialni. Tej nocy spał wybornie. Nazajutrz zjadł śniadanie w domu i do domu wrócił na obiad; tak było przez cały tydzień.

Sędziwa pani Hérault nie posiadała się z radości, mówiąc sobie w duchu, że razem z Heleną zawitało do niej upragnione szczęście.

V.

Po upływie trzech dni, Klemens de Thauziat nie spotkawszy nigdzie przyjaciela, zdziwił się, że Ludwik tak nagle zmienił upodobania i zamknął się w domu.

— W tem musi być jakaś tajemnica — rzekł sobie, lecz przyzwyczajony do różnych fantazyi i wybryków Ludwika, łatwo wytłomaczył sobie, że to odsunięcie się od towarzystwa po gwałtownem odurzaniu się światowemi rozrywkami, było oznaką ważnej zmiany w pojęciach młodzieńca, który prawdopodobnie miłość dla Dianny chciał innem zastąpić uczuciem, a że Klemens nie był ciekawy, nie dowiadywał się więc co się stało z jego satelitą.

Właśnie w tym czasie wypadła Klemensowi podróż do Brukselli, gdzie potrzebował sprawdzić czynności pewnego stowarzyszenia, którego on i Lereboulley byli administratorami. Wywiązawszy się z włożonego nań obowiązku, zatrzymywał się jeszcze tu i owdzie w drodze i zaledwie po upływie tygodnia wrócił do Paryża. Tu musiał najpierw zdać sprawę ze swojej missyi senatorowi i w tym celu około godziny piątej po południu udał się do pani Olifaunt.

Pałacyk w którym mieszkała Dianna był prześliczny. Wchodziło się doń z przedmieścia Saint-Honoré, lecz główny fronton wychodził na ładny ogród, do którego prowadziły małe drzwiczki otwierające się tak łatwo w nocy dla Lereboulleya. Dom ten, istne pieścidełko, właściciel wynajmował w cenie czterdziestu tysięcy franków rocznie. Zbudowano go dla miss Howard, wtedy gdy książę Ludwik Napoleon mieszkał na Polach Elizejskich. Był to pałacyk niewielki lecz urządzony i umeblowany z najwyszukańszą wykwintnością. Salony przeznaczone do przyjęcia gości, znajdowały się na parterze, tak jednak wysoko wzniesionym, że wyglądał raczej na niskie piętro. Na pierwszem piętrze mieściły się wyłącznie apartamenta pięknej Angielki. W bocznem skrzydle, stanowiącem niejako oddzielny pawilon, mieszkał sir James. Piękne kamienne schody, z poręczą wysłaną aksamitem, z porfirowemi kolumnami i lampami ze złoconego bronzu, prowadziły z przedsionka do galeryi wiodącej do salonów.

Wewnętrzne urządzenie domu mogło zadowolnić najwybredniejsze wymagania. Kosztowne meble nie rażące jednak błyskotliwemi ozdobami, starożytne jedwabie osłaniające ściany małego saloniku, obicia pomysłu Teniersa w sali bilardowej i pyszne safiany z czasów Ludwika XIII, ozdabiające jadalnią, nadawały każdej komnacie właściwą cechę. Sypialnia, którą poprzedzał urządzony z przepychem buduar w stylu Pompadour, wybita była wspaniałą, w kolorze heliotropowym materyą, przetykaną srebrnemi kwiatami. Łagodna barwa jedwabnej tkaniny, podnosiła jeszcze świeżość cery Dianny. Łóżko w stylu odrodzenia, z hebanowego drzewa, wykładanego perłową massą, było także arcydziełem w swoim rodzaju; dwa kuferki włoskiej roboty, okute pozłacanym bronzem i ozdobione herbami Medyceuszów, oraz komoda w guście weneckim, formą skrzyni, której wierzch z mozajki marmurowej, przedstawiał zaślubiny doży z morzem Adryatyckiem, stanowiły szacowne zabytki przeszłości, kupione na licytacyi w pałacu San Donato. Nad kominkiem rzeźbionym z czarnego gruszkowego drzewa, wychylał się z ram ozdobnych portret pani Olifaunt, przedstawionej w kostyumie Dianny-łowczyni, z odsłoniętem łonem i srebrnym półksiężycem w bujnych, złotych włosach, portret ten był dziełem sławnego Chaplina. Podłogę zaścielał biały, astrachański dywan, delikatny, miękki i puszysty jak śnieg.

Jednego dnia w tygodniu Dianna przyjmowała tylko bardziej zaufane osoby, to też i dzisiaj siedziała w małym japońskim saloniku na dole. Salonik ten sir James przyozdobił rozmaitemi fraszkami, które wybierał z gustem prawdziwego znawcy. Po za oszklonemi szafkami widać było mnóstwo przedmiotów i posążków z kości słoniowej, rzeźbionych cudownie z cierpliwością i zręcznością właściwą robotnikom z Jeddo.

Ściany pokrywał blado błękitny jedwab' haftowany w fantazyjne ptaki, potworne rośliny i nieistniejące nigdy zwierzęta. Dianna ubrana była odpowiednio do otoczenia w jakiem dziś występowała. Długa, swobodnie zrobiona suknia w złote kwiaty na tle różowem, okrywała ją jak starożytna tunika, z pod której wysuwały się małe nóżki obute w zielone pantofelki. Stanik nieco z przodu wykrojony odsłaniał łabędzią szyję, z pod szerokich rękawów wychylały się białe, pulchne ręce. Włosy podczesane wysoko i upięte na wierzchu głowy, podtrzymywały złote szpilki z koralowemi łebkami. Suknia była zrobiona tak luźno, że zdawało się, iż za najlżejszem poruszeniem Dianna

wyjść z niej może, a jednak cudowne kształty jej kibici nietylko nie traciły, ale owszem zyskiwały na tem i młoda kobieta wyglądała dziś czarująco.

Była godzina piąta po południu, gdy kamerdyner otworzył drzwi, oznajmiając przybycie Klemensa de Thauziat. W salonie znajdowało się zaledwie kilka osób, na kanapie obok pięknej Dianny siedział książę de Pforza, bogaty magnat włoski z czarnemi jak heban włosami i różnokolorową wstążeczką przy klapie tużurka. Koło fortepianu pani Andersen stara Amerykanka niemajętna lecz śliczną mająca córkę, przysłuchiwała się piosence kompozytora Lucyana Wordlera, którą tenże nucił półgłosem, podłożywszy do swej melodyi słowa Coppéego. Tuż przy muzyku stała młoda dziewczyna z płowemi włosami i błękitnemi oczami, zasłuchana w tęskną melodyę piosenki.

Sir James trzymając mały, widać tylko co kupiony obrazek w ręku, pokazywał go przy oknie panu Lereboulley zachmurzonemu jak noc grudniowa.

— Powiadam panu, że kupiłem go za bezcen— dowodził — cóż znaczy nędzne dwadzieścia tysięcy franków w porównaniu z wartością tego arcydzieła.

Wejście Klemensa sprawiło niejakie zamieszanie w salonie i oswobodziło panią Olifaunt od grzeczności cudzoziemca a senatora z pazurków Anglika. Dianna witała zawsze Klemensa uprzejmym uśmiechem, dziś jednak zobaczywszy go, zmarszczyła brwi gniewnie. Pomimo to, powstała podając mu rękę i rzuciła się napowrót niedbale na kanapę, zasłaną haftowanemi poduszkami. Klemens ukłonił się dwom Amerykankom, przyjaźnie przywitał muzyka i rzekł zwracając się do Lereboulleya:

— Cóż to oglądasz, drogi przyjacielu? Widzę, że sir James pokazuje ci jakieś arcydzieło?

— W porę przyszedłeś, kochany Klemensie. Wiem, że jesteś wytrawnym znawcą, wytłomacz więc swojemu przyjacielowi, że ten nędznik Steiner okradł go poprostu... Zapłacić tysiąc dukatów za mały obrazek, mający dziesięć cali, toć to zdzierstwo, rozbój na prostej drodze!

— Ależ to oryginał Carla Dolci, wszak tu podpisane jego nazwisko — odparł chłodno sir James spoglądając groźnym wzrokiem na senatora. — Zresztą kupno już dopełnione... dałem Steinerowi przekaz do pańskiego banku, uprzedzam pana o tem...

Słowa te rozdrażniły jeszcze bardziej Lereboulleya, który zawołał też gniewnie:

— Bardzom panu wdzięczny, że mnie o tem uprzedzasz... Ale muszę ci powiedzieć, sir James, że jesteś bardzo nieoględnym człowiekiem... Największe fortuny topnieją łatwo w obec takiej rozrzutności.

Anglik poczerwieniał ze złości i rzekł z uniesieniem:

— Przepraszam, kochany Lereboulley, ale może kapitały mojej żony wyczerpały się już w twoim banku?

— Ależ nie — przerwał mu pośpiesznie senator. — Jeżeli ganiłem to kupno, uczyniłem to jedynie przez życzliwość dla was... Kupujcie jednak co chcecie... cóż mnie do tego... ja tylko realizuję czeki... pomimo to wyznać muszę, że ten obraz jest lichem malowidłem!

I ująwszy Klemensa pod rękę, odprowadził go na stronę, powtarzając gniewnie:

— Lichota! bohomaz!

Młody muzyk uczył tymczasem młodą miss Andersen swojej piosenki i podnosząc oczy w sufit, śpiewał z nią wspólnie:

„O! pierwszy pocałunek... przez lekką woalkę!"

— Połóż pani nacisk na słowo „pocałunek", który jest tu najważniejszym wyrazem. Ot, tak: po-ca-łu-nek. Na ostatniem słowie głos powinien niknąć, niknąć zupełnie. Dobrze, doskonale.

Stara Amerykanka racząc się obficie ciastkami i winem, z zapałem iście macierzyńskiem, przyklaskiwała sama, powtarzając przez zęby:

— Cudownie! czarująco!

Wtórował jej w pochwałach książę włoski, pragnący uchodzić za melomana, nastręczało mu to bowiem sposobność serdecznego ściskania rączki pięknej cudzoziemki.

Dianna podniosła się z kanapy na której siedziała w zadumanej pozie, skinęła na Klemensa i uchyliwszy makatę zasłaniającą drzwi sąsiedniego pokoju, weszła razem z nim do gabinetu, gdzie sir James załatwiał korespondencye i rachunki.

— Nikt nam tu nie przeszkodzi — rzekła siadając na fotelu.

— Cóż masz mi do powiedzenia? — spytał Klemens z uśmiechem. — Wywołałaś mnie tutaj, a sądziłem, że prawo do twego zaufania posiada tylko sir James...

— Nie żartuj — przerwała mu piękna Angielka, w której błękitnych oczach przemknął błysk jasny i zimny jak stal — nie odpowiednia to na żarty chwila.

— O! cóż cię za przykrość spotkała? czy masz jakie zmartwienie?

— Mam, i wielkie nawet.

— Czy moja pomoc może ci się na co przydać?

— Bezwątpienia, ty jeden tylko pomódz mi możesz.

Thauziat spojrzał na Diannę, a widząc ją zupełnie spokojną i sam spoważniał także. Wiedział on dobrze, że Dianna nie zwykła zrzucać winy na drugich i przeczuł, że chodzi o rzecz wielkiej wagi.

— Powiedz mi otwarcie, coś powiedział o mnie twemu przyjacielowi Ludwikowi Hérault? — zaczęła pani Olifaunt, po krótkiej chwili milczenia.— Zostawiłam go z tobą, gdy odjechałam z balu u księcia Voréseff... Wyszliście prawie zaraz po mnie, wiem to od Lereboulleya. Pan Hérault miał mnie odwiedzić nazajutrz i nietylko, że nie przyszedł, ale postąpił ze mną jak najniegrzeczniej nawet po grubiańsku i to w obec świadków... Zachodzę w głowę, co się stać mogło i jakim sposobem pan Hérault, który był tak uprzejmy i nadskakujący na balu, mógł się nazajutrz okazać tak gwałtownym i obejść się ze mną w tak pogardliwy sposób? Nikt inny nie wpłynął na zmianę jego usposobienia tylko ty, Klemensie... jestem o tem najmocniej przekonana... Ale jakiego użyłeś sposobu? chciałabym to wiedzieć koniecznie.

— Ależ, moja droga, dziwi mnie to niezmiernie, że czynisz mnie odpowiedzialnym za postępowanie Ludwika Hérault. On już nie dziecko, wie dobrze co robi i nie potrzebuje, aby ktoś nim kierował. Zresztą dziwi mnie to, że ci tak idzie o jedną niedotrzymaną wizytę... Czy wielbiciele opuścili cię dlatego, iż jeden człowiek wyłamał się z pod twojej władzy?

— A jeśli ja tego jednego właśnie pragnę widzieć u nóg moich? — przerwała mu szorstko Dianna.

— O! nie domyślałem się, że takie szczęście spotkało Ludwika — rzekł Thauziat. — Więc wyróżniłaś go z pomiędzy wszystkich i dopominasz się o niego jak o swoją własność?

— Nie żądam niczego... prócz odrobiny szczerości od ciebie. Co powiedziałeś panu Hérault, aby mu przeszkodzić w zamiarze bywania u mnie?

— Nic, — odparł chłodno Thauziat.

Dianna gwałtownie zerwała się z krzesła a twarz jej groźny przybrała wyraz.

— Dlaczego kłamiesz?—rzekła przysuwając się do Klemensa.

— Wiesz, że nie zadaję sobie tego trudu dla nikogo, a więc nie skłamałbym i dla twojej przyjaźni — odparł spokojnie. — Nie powiedziałem nic Ludwikowi i on nie domyśla się bynajmniej tego, co tak starannie ukrywasz przed całym światem. Widząc jednak, że biedny chłopiec jest szalenie w tobie rozkochany i że tworzy projekta, żadnego nie mające sensu, mówił bowiem o porwaniu cię i ożenieniu się z tobą, ma się rozumieć, po rozwodzie, chciałem przyprowadzić go do rozsądku a niemogąc tego dokazać, namówiłem go na pieszą przechadzkę... No, przyznaj sama, że Ludwik był więcej, jak nierozsądny... Przypadek zdarzył, że szliśmy w niewielkiej odległości od Lereboulleya a ten szczęśliwy człowiek doprowadził nas, nie domyślając się tego bynajmniej, aż do drzwi twego domu...

— I Ludwik Hérault widział go wchodzącego?

— Tak jest, Dianno.

Dianna milczała bawiąc się machinalnie jedwabnemi żołędziami spadającemi od jej paska. Ręce drżały lekko a złośliwy uśmiech oszpecił rumiane usteczka, gdy z pod groźnie zmarszczonych brwi orzuciła szybkiem, badawczem spojrzeniem Klemensa.

Oczy jej pociemniały z gniewnego oburzenia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WIADOMOŚCI
Z RÓŻNYCH STRON.

Kiedy my nie możemy się uskarżać na zbytnie letnie gorąco, szalone upały panują w całym Bengalu i północnych prowincyach Indyi. W Kalkucie ludzie padają jak muchy, a liczba ofiar doszła już do bardzo znacznej cyfry. Zbiory wszędzie prawie zniszczone. Plantacye ryżu w Bengalu padną również ofiarą upału, jeżeli deszcz wkrótce nie spadnie; ceny podnoszą się szybko. Bydło nie ma paszy, a brak wody wszędzie dotkliwie daje się uczuć.

Z Meksyku znów donoszą, że wielkie powodzie spowodowane nieustannemi ulewami, poczyniły straszne spustoszenia w miastach Leon i Silac w Meksyku.

Wylew zaskoczył mieszkańców niespodzianie wśród nocy.

Lekko budowane domy zapadały się jeden po drugim, przyczem pogrążeni we śnie mieszkańcy ginęli bez ratunku.

Według wreszcie dzienników włoskich, okolice Rzymu od dwóch tygodni nawiedzane są plagą szarańczy, która miejscami wszelką wyniszczyła roślinność. Pierwsze roje szarańczy pojawiły się

przed szesnastu dniami na terytoryum Monte Celio i Tivoli, w mniejszej ilości pojawiła się następnie u bram Rzymu: Del Popolo i San Lorenzo. Szczęściem, szarańcza ta jest jeszcze w stanie bezskrzydlnym, a nadto, jak twierdzą znawcy, nie ma nic wspólnego z prawdziwą szarańczą afrykańską. Jako środek tępienia jej podają: wywieszanie białych szmat, które ściągają do siebie owady, a koncentrując je ułatwiają wygubienie. Większe daleko spustoszenia zrządziła szarańcza w Capitana i Sycylii. Straszliwa zaś jest klęska o jakiej donoszą z Algieru. Z Guelma dano znać, iż zbliżają się roje szarańczy w zbitej masie, 20 kilometrów długiej a 10 szerokiej. W przeciągu trzech dni owady przebyły przestrzeń 34 kilometrów. Okolice Aigregady zniszczone już doszczętnie.

Z instytutu głuchoniemych i ociemniałych. Uzupełniając naszą wzmiankę o akcie uroczystym w tutejszym Instytucie głuchoniemych i ociemniałych, zaznaczyć jeszcze należy co następuje:

Instytut posiada klasy zasadnicze, w których znajduje się 200 wychowańców i wychowanic, z tych zaś 162 głuchoniemych, a 38 ociemniałych, chłopców 114 i dziewcząt 86, a w tej liczbie prawosławnych 21, katolików 167, ewangelików 2 i żydów 10.

Wychowańcy prawosławni od roku zeszłego tworzą osobny oddział, w którym wykład prowadzony jest w języku russkim, w innych klasach wykłady odbywają się w języku polskim; obok tego w Instytucie znajdują się warsztaty, do których uczęszcza 23 wychowańców płci obojej, oraz szkoła rzemieślniczo-niedzielna dla uczniów przychodnich.

Oddziały równoległe na Podwalu liczą 44-ch uczni.

Pod opieką Instytutu znajduje się nadto przytułek dla ociemniałych przy ulicy Piwnej, w którym 14 osób otrzymuje od instytutu mieszkanie, światło i opał, dalej towarzystwo głuchoniemych, złożone więcej niż z 400 członków, z kapitałem rs. 6,000 i towarzystwo ociemniałych, liczące 48 osób a posiadające kapitału rs. 5,000.

Fundusze Instytutu składają się z otrzymywanych od skarbu rs. 42,885, oraz z funduszów specyalnych w kwocie rs. 20,000.

Szkoła rzemieślnicza przy ulicy Złotej pod kierunkiem zasłużonego dyrektora p. J. Kühna liczyła z końcem świeżego zamkniętego roku naukowego około 190 uczniów. Jak wiadomo, uczniowie, kończący tę szkołę, nie mogą być wyzwoleni na czeladników, bez uprzedniego wypraktykowania w rzemiośle u majstrów, wprawdzie przez czas stosunkowo krótki, bo nie spełna roczny. W pierwszych latach istnienia szkoły, majstrowie a przynajmniej większość pośród nich, czuli uprzedzenie do wychowańców tego zakładu i niechętnie ich do siebie na praktykę przypuszczając, że tacy „naukowi“ terminatorzy dużo im będą „mędrkowali“ a mało robili. Uprzedzenie to ustąpiło w ostatnich czasach prawie zupełnie, i majstrowie sami już skwapliwie poszukują praktykantów, wywykwalifikowanych przez szkołę:

Wśród licznej rzeszy komisantów i ajentów handlowych, po raz pierwszy zdarzyło nam się poznać kobietę, która zawód swój spełnia sumiennie, a co ważniejsza z wielką korzyścią dla siebie.

Jest nią pani Zofia Kalenowska, wdowa po urzędniku kolejowym, warszawiaku.

Pani K. pozostawszy przed sześciu laty prawie bez żadnego funduszu z trojgiem dzieci, przyjęła korzystną posadę nauczycielki prywatnej, aż w Tyflisie, a za otrzymane wynagrodzenie umieściła dziatwę pod dobrą opieką, zapewniając im edukacyą.

Po dwóch latach jednak pani K., rozejrzawszy się w miejscowych stosunkach, porzuciła zawód nauczycielski a zajęła się handlem.

Wykształcona i energiczna kobieta jest obecnie komisantką kilkunastu najpoważniejszych firm kaukazkich i odeskich.

Większą część roku pani K. spędza w podróży, przeważnie zagranicą, a Warszawę dość często odwiedza, czyniąc tu poważne zakupy.

Komisantka tyle już dziś zarabia, że nietylko jest w stanie łożyć na kształcenie dzieci, ale corocznie powiększa dość znaczne oszczędności.

Towarzystwo przeciw żebracze. Dowiadujemy się, że projekt pomienionego towarzystwa został ostatecznie wypracowany i przesłany odpowiedniej władzy do zatwierdzenia. W zakres działalności towarzystwa wchodzić ma urządzanie przytułków i sal noclegowych dla biednych, umieszczanie ich dzieci u osób dobroczynnych i u majstrów dla nauki rzemiosła, wreszcie udzielanie ubogim wsparć i pomocy lekarskiej. Biednym, mogącym jeszcze pracować, towarzystwo wyszukiwać ma stosowne zatrudnienia.

Zarząd miejski dla udogodnienia kupującym na targu za Żelazną-Bramą dostępu do straganów, postanowił znieść ich pewną liczbę, z pośród niewydzierżawionych.

Korespondent Płocki pisze, że parę młodych panien z Płockiego zamierza poświęcić się zawodowi farmaceutycznemu.

Na tej, jak na wszelkich innych drogach zawodowych, a szczególnie nowotorowanych, szkopułów i cierni nie zbraknie; wszakże przy niezłomnych zasadach moralnych i silnej woli, można wszelkie pokonać przeszkody, z prób ogniowych wyjść cało i cel osiągnąć zamierzony, to jest zabezpieczyć sobie byt niezależny.

Nieobojętnem zapewne będzie dla dzielnych nowatorek, że dozwolonem świeżo zostało kobietom wstępować do aptek w charakterze uczniów aptekarskich, po przedstawieniu świadectwa znajomości kursu czterech klas gimnazyów męzkich, tudzież języka łacińskiego, z tym warunkiem, ażeby po ukończeniu zajęć praktycznych w aptekach egzamin i udzielanie stopni pomocnika aptekarskiego i prowizora, odbywało się przez wydziały lekarskie lub akademię wojenno-lekarską i ażeby potrzebna do pozyskania tych stopni nauka, nabywaną była w drodze prywatnej i nareszcie, ażeby apteki przyjmujące uczenice, nie trzymały uczniów.

Do kilku miejscowych składów zabawek dziecinnych i galanteryi, zgłaszał się niedawno stary kmieć Józef Wykurz z synem Antoniem, czternastoletnim wyrostkiem, czyniąc zakupy rozmaitych zabawek dziecinnych.

Wyboru takowych dopełniał syn, rodzic zaś płacił nie targując się wcale.

Ogółem zakupy tych cacek wynosiły kwotę kilkunastu rubli.

Podług słów starego kmiecia, pochodzącego z Grójca, syn jego od małych lat zdradzał zdolności w wystrugiwaniu z drzewa rozmaitych cacek, za poradą więc tamtejszego proboszcza przyjechał do Warszawy, by jak sam mówi: „nakupić siła modelunków dla dzieciska...“

Wieśniak wyraża nadzieję, iż w przyszłości wydatek ten opłaci mu się, gdyż chłopiec dziś już jest w możności zarobić na swe utrzymanie.

Rzeczywiście z okazywanej próbki wnosić można, iż chłopiec ten nie jest bez talentu.

Źle tylko, iż „tato“ o prawidłowem kształceniu syna nie chce słyszeć.

Na ostatnią sesyę zgromadzenia piwowarów, zgłosiło się do otrzymania stopnia czeladnika dwóch młodych ludzi, posiadających wykształcenie wyższe.

Jeden z nich p. Jan Z. złożył patent z ukończenia wyższej szkoły w Grejswalden, p. Piotr W. zaś świadectwo z ukończenia fakultetu chemicznego szkoły politechnicznej w Rydze.

Nadto do jednego z tutejszych browarów przyjęty został na praktykę 22-letni młodzieniec, posiadający patent z ukończenia szkoły wojskowej.

W Watykanie rozpoczęto niełatwą pracę uprzątania wystawy i rozdzielania podarunków. Prośby o naczynia i szaty kościelne, ze strony różnych kapituł i probostw nadesłane, wynoszą do kilku tysięcy. Najkosztowniejszą szatę kościelną nadesłały panie z Bogota; jest ona ze srebrnej brokateli, a zdobi ją 14,800 pereł, 800 szmaragdów i 340 dyamentów. Takie kosztowne dary, oraz dary pochodzące od monarchów i książąt, pozostaną naturalnie w Rzymie albo do osobistego użytku Ojca św., albo też ku ozdobie nowego muzeum w Lateranie, gdzie również pomieszczone będą w osobnej bibliotece wszystkie nadesłane książki. Papież powierzył rozdzielanie szat i naczyń kościelnych ubogim gminom, trzem księżom z Perugii, monsignorom: Boccali, Marzolini i Angeli, którzy cieszą się specyalnem zaufaniem Ojca św. Praca ta jednak postępuje bardzo wolno, najpierw z powodu olbrzymiej ilości przedmiotów, a następnie dlatego, że niewolno nic darować bez szczególnego pozwolenia Papieża, który dopytuje się o każdą drobnostkę i często zmienia swoje dyspozycye. Z rozdzieleniem artykułów żywności załatwiono się o wiele prędzej; znaczna ich część wszakże, zwłaszcza owoce, uległa już zepsuciu. Wino, oliwa i *maccoroni* dostały się klasztorom i instytutom, najprzedniejsze zaś wina pozostały w piwnicach Watykanu.

— Znów widzę wracasz ze śniadanka, bo już dobrze po północy.

— A tak, najdroższa moja żoneczko, ale bez zbytku... zwyczajnie, po kieliszeczku...

— Których dotąd pewno za jakie tysiąc rubli wypiłeś.

— Być może, ale za to nie powie nikt, że na świecie żyłem *darmo*.

* * *

Na pewnym koncercie symfonicznym, podczas gdy w uwerturze z „Euryanty“ następuje kilkanaście taktów, granych tylko przez skrzypce i altówki nadzwyczaj *piano*, jeden z waltornistów kichnął tak głośno, że aż publiczność śmiać się zaczęła, wołając: „na zdrowie, na zdrowie“. Zrozpaczony dyrektor, po skończeniu uwertury, poczyna robić wyrzuty niefortunnemu muzykowi:

— Jak pan mogłeś dopuścić się podobnego skandalu?! Toć przecie należało poczekać aż będzie *tutti*, a wtedy niktby nie usłyszał pańskiego kichnięcia!

— Panie dyrektorze! — odpowie z flegmą waltornista—panu byłoby łatwiej to uczynić, bo masz przed sobą partyturę, więc możesz wiedzieć kiedy

tutti wypada. Ja tam z mojej partyi nic wymiarkować nie mogłem, kichnąłem więc na chybił trafił.

* * *

Wyrywanie zębów szachowi perskiemu odbywa się zazwyczaj śród nadzwyczajnych przygotowań. Monarcha oczekuje ważnego faktu siedząc w fotelu, otoczony dygnitarzami państwa, mając przy boku swego europejskiego lekarza nadwornego. Dentysta szacha, noszący tytuł hana i będący w randze pułkownika, stoi w pewnem oddaleniu ze swemi narzędziami i przybliża się dopiero na szorstko wypowiedziany rozkaz szacha. Monarcha zamyka oczy, a pierwszy minister korzysta z tej sposobności, aby pełzając na klęczkach, złożyć u stóp swego władzcy dla złagodzenia bólu, worek napełniony złotem; za jego przykładem idą i inni dygnitarze. Wówczas dentysta wyjmuje obcęgi i w chwili gdy ząb zostaje wyjęty, rozlega się radosne „brawo!" monarcha i dentysta są obsypywani powinszowaniami, a ostatni otrzymuje z rąk szacha jeden z worków ze złotem i bardzo kosztowny szal jedwabny. Monarcha w końcu przygląda się uważnie wyrwanemu zębowi, daje go w prezencie jednemu ze swoich faworytów i patrzy z lubością na brzęczące objawy współczucia jakie mu złożono.

* * *

— Przy pańskiem cierpieniu powinieneś się zastosować ściśle do przepisów kuracyjnych. Rano trzy kubki Szprudla, po każdym półgodzinny spacer, wogóle ruch najważniejszą jest rzeczą. Surowa dyeta, nie więcej jak trzy cygara dziennie: jedno rano, drugie po obiedzie, ostatnie po kolacyi, za trzy dni zgłoś się pan do mnie.

Po trzech dniach:

— No, jakże panu kuracya służy?

— Dziękuję, tak dalece dobrze, iż gdyby mi się tylko za każdym razem mdło nie robiło...

— Mdło? Jakto? Po czem?

— No, tak za każdym razem, widocznie nie znoszę...

— Co? Szprudla?

— Ależ nie, owszem, ale cygar nigdy przedtem nie paliłem.

* * *

— Panie! ostatni raz przypominam panu zwrot należnego mi długu, bo...

— A to niewymownie panu jestem wdzięczny, że to już ostatni raz, bo istotnie przypominaniem pańskiem jestem potężnie znudzony.

RÓŻNE MYŚLI.

Prawda jest jak metal, sztuka go nie tworzy, lecz czyści.

Duclos.

ZAWIADOMIENIA.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава, 7 Іюля 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.